

Anna Dymna – aktorka o wielu twarzach, kojarzona przez widzów z różnymi kreacjami filmowymi i teatralnymi: od młodziutkich, beztroskich, delikatnych dziewcząt, przez wielkie role kostiumowe, po kobiety silne, dotknięte trudami życia, frustracjami, nałogami, napiętowane tragicznymi przeżyciami, upływem czasu, samotnością... Ale Anna Dymna to jednocześnie kobieta o jednej twarzy, w pewnym sensie zupełnie niezmienionej. Po przeczytaniu wydanej niedawno książki „Dymna” Elżbiety Baniewicz nasuwa się pytanie, jak pośród takiej różnorodności emocji na scenie i w życiu człowiek zachowuje wewnętrzną harmonię, która pozwala dzielić się z innymi tym, co się ma najpiękniejsze. Aktorka nie wpuszcza do domu kamer, bo to miejsce, gdzie odpoczywa, może leżeć na podłodze z kotem i nie ma zamiaru zamieniać domu w plan filmowy. Mówi o sobie, że jest aktorką, ale przede wszystkim człowiekiem, więc jeśli aktorstwo, jakaś propozycja wymaga wtargnięcia w jej osobiste przeżycia, rezygnuje



Zdjęcie: Archiwum Anny Dymnej

# PRAWDZIWA MIMO WSZYSTKO

Z Anną Dymną rozmawia Agnieszka Chadzińska

**AGNIESZKA CHADZIŃSKA:** – Czy dom to azyl?

**ANNA DYMNA:** – Nie tylko dla mnie. Tu jest taki mały raj dla kotów, ptaków, jeży, pajaków, motyli. Codziennie o świcie otwieram okno i podglądam ptaki... Przylatują ich dziesiątki: wróbelki, kowaliki, sikorki, szpaki, sówki. Sroki przylatują całymi rozwrzeszczanymi bandami i straszą mojego kota Haszysza. Zdarza się,

że koci wojownik ucieka z podziobaną głową. Najbardziej lubię siedzieć na drewnianym tarasiku pod markizą z liści. Tu prowadzę wszystkie rozmowy, tu spotykam się z ludźmi. Te spotkania dają mi siłę i wracam do nich często pamięcią. Pamiętam, jak na tym krześle siedział kiedyś Czesław Miłosz. Była piękna kolorowa jesień. Siedzieliśmy pod kolorowym daszkiem; dławisz



przebarwia się na cytrynowo, winobluszcz na purpurowo, jedliśmy szopską sałatkę, pili wino i zachwycali się światem. I przyszła Czacza, moja ruda kocica, otarła się o nogi poety i wskoczyła mu na kolana. Mówię: „Czacza, czy ty zwario- wałaś, przecież to jest noblista!”. A Miłosz na to: „Pani zostawi, ja kocham koty, one mają duszę i tajemnicę”. Na to przyszedł Haszys, wskoczył na oparcie krzesła i zaczął coś mruczeć do ucha naszemu gościowi. I tak Miłosz siedział wśród tych kotów i opowiadał o zwierzętach.

**– Niezwykli ludzie tu Panią odwiedzają.**

– Tak. Znam niezwykłych ludzi, ale za rzadko się spotykamy. Pracuję od świtu do nocy. Teraz, po operacji stopy, wreszcie zmuszona jestem zatrzymać się na chwilę, posiedzieć, popatrzeć, zachwycić się. I mam czas na to, na co zwykle nie mam czasu. No i uczę się słów Tadeusza Różewicza – w październiku premiera. Muszę się spokojnie, szybko regenerować, zrastać i – do ataku! Dużo przede mną. Rola w teatrze, w filmie, a tu fundacja i tysiące obowiązków.

**– W dzisiejszym świecie mamy do czynienia ze swo- istym wysypem osób określanych wyjątkowymi, wspaniałymi, przychodzi refleksja, że łatwo czymś blahym się wyróżnić, zdobyć popularność...**

– Znam wiele wspaniałych osób. Wielkich artystów, a przy tym dobrych, życzliwych, pra- wych ludzi. Pomagają chętnie, z oddaniem i czę- sto bez rozgłosu. Popularność to całkiem inna sprawa. Przecież zdobywają ją często osoby, które nie mają nic wspólnego z artystami, znani są z tego, że są znani, z ekscesów, prowokacji, drapieżnych wypowiedzi. Media to lubią i od nas też często tego oczekują.

**– Chcą szokować?**

– Zło, nienawiść, agresja, konflikty są pod- niecające, interesujące. Dają pozorną siłę. No i podobno najlepiej się sprzedają. Ale też, w efekcie, niszczą, zniechęcają, wpędzają w depresję. Tak naprawdę ludzie potrze- bują zupełnie czegoś innego. Często odkrywają to, gdy nie mają już siły walczyć, ścigać się, gdy wypadek, choroba nagle od- mienia ich los, przykuwa do

łóżka, do inwalidzkiego wózka. Oni dużo szyb- ciejszy odkrywają, co w życiu jest naprawdę ważne, potrzebne i czasem wtedy dopiero odnajdują prawdziwy sens życia.

**– Niektórzy z nich pojawili się w wydanej niedawno książce „Dymna”, Pani biografii, którą napisała Elżbieta Baniewicz.**

– Bo spotykam ich całe życie. Dziś jest pogrzeb Jasia Statucha. To jeden z najważniejszych ludzi, których poznałam. Był moim rozmówcą w pro- gramie TVP2 „Spotkajmy się”. Wtedy, dwa lata po przeszczepie serca, opowiadał mi o śmierci i zmartwychwstaniu z miną prawdziwego zwycięzcy. Żył z nowym sercem siedem lat. Ema- nował radością życia, siłą, energią. Działał na rzecz transplantacji. Był wszędzie, gdzie mógł się przydać. „Najważniejszy w życiu jest uśmiech – trzeba żyć tak, żeby ktoś się dzięki tobie uśmie- chał, a ten uśmiech może i ciebie kiedyś uratować” – to jego słowa. Przy nim wydawało mi się, że wszystko się uda, że wszystko można zmienić na lepsze, wszystko uratować.

To brzmi jak slogan. Ale ludzie są coraz bar- dziej samotni i, prawdę mówiąc, wyją za tym, żeby się do kogoś uśmiechnąć. Zamiast tego, siedzą przy komputerach i w jakiejś rozpacz- y plują, nienawidzą, pogardzają. Żal mi ich. Prze- cież tak bardzo by się komuś przydali. Tylu ludzi potrzebuje pomocy i obecności drugiego człowieka.

**– Jak Janusz Świtaj?**

– No tak. Jest ponad 20 lat całkowicie spa- raliżowany, oddycha za pomocą respiratora, wywołał w Polsce dyskusję o eutanazji, o pra- wie do zaprzestania uporczywej terapii. Myślał o śmierci, bo, choć ma wspaniałych rodziców, którzy wspaniale się nim opiekują, to jednak czuł się balastem, nikomu niepotrzebnym problemem. Znałam jego dramat, bo moja fundacja mu pomagała zanim stał się „sław- ny”. Kiedy media zadzwoniły do

mnie, że jakiś sparaliżowany Janusz wystąpił o pra- wo do eutanazji i gdy dowiedziałam się, że to ten Janusz, zadzwoniłam do niego i za-

częłam krzyczeć: „Co ty sobie wyobrażasz? To ty mi dajesz siłę, zawsze o tobie myślę, kiedy mi jest źle, masz tyle siły i chcesz umie- rać? Chyba ci się nudzi, może do pracy byś poszedł!”. Pewnie głupio to brzmiało, ale to był odruch. Ten krzyk o śmierć wydał mi się po prostu krzykiem o życie. I okazało się, że miałam rację. Janusz zaczął u mnie pracować. Kontaktuje się przez Internet, za pomocą komórki z ludźmi, którzy znaleźli się w jego sytuacji. Rozmawia z nimi, pozy- skuje pieniądze. Za pomocą fundacji uzbierał sobie na wózek i wreszcie odzyskał wolność, może czasem wyjeżdżać z domu... Wózek obsługuje ustami. Janusz ma w sobie tyle energii i radości, mimo że przecież wciąż jest sparaliżowany. Rozpoczął studia, jest wspan- iałym studentem, a kiedyś będzie świetnym, wiarygodnym psychologiem.

Dzięki Januszowi uwierzyłam, że dopóki człowiek oddycha, może być potrzebny, może mieć marzenia, może je spełniać. Nie jest to łatwe. Musi obok być ktoś, kto pomoże; jak trzeba podać rękę, jak trzeba kopnie.

Dzięki pracy w fundacji wiem już, że czło- wiek, nawet gdy umiera, gdy bardzo cierpi, nie musi być pogrążony w rozpacz i czuć się niepotrzebny. Do końca może być uśmiech- nięty. Ale nie może być sam. Znałam Bartka chorego na mukowiscydozę, który powiedział, że nie chce, by go podłączano do respiratora i lekarze musieli to uszanować, nie podłą- czyli go i umarł w ramionach swojej żony, uśmiechnięty.

**– Program „Spotkajmy się”, fundacja „Mimo Wszyst- ko” – chyba nie ma Polaka, który nie znalazłby tych nazw, ale pewnie niewiele osób potrafi sobie wyobrazić rzeczywistość działań, które się na nie składają. Czy świadomość, że tak wiele jest do zro- bienia dla słabych i okaleczonych ludzi, motywuje, czy często pojawia się bezsilność, bierność innych, choć wydaje się oczywiste, że wszyscy powinniśmy pomagać?**

– W Polsce często choroba, niepełnospra- wność łączy się z ubóstwem, samotnością, bezradnością. To trzeba zmienić. I naprawdę każdy może. Moja fundacja „Mimo Wszyst- ko” uruchamia niepełnosprawnych nie tylko intelektualnie. Wiele naszych projektów, jak: „Festiwal Zaczarowanej Piosenki”, „Zwycięzca Mimo Wszystko”, „Każdy ma swoje Kiliman- dzaro” to działania, które zmieniają sposób patrzenia na osoby niepełnosprawne, inne. Pokazujemy, że są naprawdę takie jak my, mają marzenia, talenty, uczucia, a w dodatku są pełne radości, cierpliwości i siły, których możemy się od nich uczyć. Kontakt z tymi ludźmi odmienił moje patrzenie na wszyst- ko. Po pierwsze przestałam narzekać i nauczyłam się cieszyć z małych rze- czy i z tego, co jeszcze mam. I wiem, że najważniejszy jest drugi człowiek.





► **Przy okazji programów „Spotkajmy się” musiała się Pani uczyć także bardzo konkretnych rzeczy, zdobyć wiedzę o konkretnych chorobach, stanach.**

– Mam dziesiątki zeszytów A4 – tysiące stron ze spisanyimi rozmowami z moimi bohaterami, z notatkami o chorobach, z pytaniami do lekarzy. Sama przygotowuję te programy. Korzystam z różnych źródeł, z fachowych książek, które dostałam od prof. Andrzeja Szczeklika, z Internetu, z blogów. Jeżdżę po szpitalach, pomagają mi najwspanialszy lekarze, ot tak, po przyjacielsku. To jest właściwie fascynujące. Ileż się dowiedziałam o rzadkich chorobach, o przeszczepach, zagrożeniach... ileż poznałam tajemnic ludzkiego ciała i psychiki, o zagrożeniach. Wprawdzie nie rozumiem wielu fachowych niuansów, ale przecież ja te rozmowy prowadzę z pozycji zwykłego człowieka, nie lekarza, terapeuty, psychologa. Ale żeby zadać nawet głupie i proste pytanie, trzeba dużo się dowiedzieć. A podczas programu nie rozmawiam przecież żadnym fachowym językiem, nie mądrzę się i nawet nie zdradzam się z tym, co wiem. To moi rozmówcy są ważni. To oni mi mówią, co ich najbardziej boli, co jest dla nich największym dramatem, czego się boją, czego im brakuje. Ja nie muszę wiedzieć, jak się leczy ale wiem, jak choroba boli i jak zupełnie inaczej każdego człowieka.

– **Wspomniała Pani prof. Szczeklika, to on zaprosił Panią do pewnej współpracy – żeby lekarzom i osobom zajmującym się chorymi, a podchodzącym niejednokrotnie z dużą rutyną do pacjentów, zwrócić uwagę na przekazywanie ciepła, na rozmowę, dobry kontakt.**

– Znałam prof. Szczeklika, często z nim rozmawiałam. Dawał mi siłę i odwagę do robienia tych rzeczy, które mnie przecież często przerażają. Zawsze mogłam do niego zadzwonić. To on pierwszy mi powiedział: „Niech Pani robi te rozmowy, nie da się zniechęcić. Ja oglądam Pani programy, one wypełniają pewną lukę, bo my, lekarze, nie mamy czasu na rozmowy z pacjentem; bardzo brakuje takiej zwyczajnej, prostej rozmowy. A Pani właśnie to robi. To jest bardzo ważne”.

– Dzięki profesorowi jeździłam na różne sympozja lekarskie... Nawet na niektórych zabierałam głos. Pamiętam, jakie to było przeżycie, gdy mówiłam do wypełnionej lekarzami, kapelanami, fachowcami od medycyny sali na temat: „Jak rozmawiać z pacjentem?”, „Co lekarz powinien wiedzieć o chorym?”, „Czego chory oczekuje od lekarza?”, „Jak rozmawiać z umierającym człowiekiem?”... Jakie to było dla mnie wyzwanie. Ale zawsze byłam głosem pacjenta, mówiłam to, czego dowiedziałam się od moich rozmówców z programu „Spotkajmy się”. Przecież ja jestem tylko aktorką.

– **A czego Panią uczył spotkaniem z chorymi?**

– Przez 12 lat programu „Spotkajmy się” nauczyłam się tego, że o śmierci, o cierpieniu



### Najważniejszy jest człowiek

mówi się normalnie. Nie trzeba się bać. Człowiek, który cierpi, chce o tym rozmawiać. Byłam w szpitalu, gdzie dzieci chorują na raka kości. Te dzieci chciały rozmawiać ze mną przede wszystkim o chorobie. Człowiek potrzebuje wyrzucić z siebie to, co boli, z czym sobie nie może poradzić, co smuci. Trzeba umieć słuchać i zwyczajnie rozmawiać... Nie oceniać, nie potępiać, nie straszyć, nie bać się. Jak trzeba, to popłakać, ale nic nie udawać i nadrabiać... Tego się właśnie cały czas uczę od moich rozmówców.

I dziwne, ale chyba z nikim tak się szczerze nie śmiałam, nie żartowałam, jak z nimi. Płakałam też. Ale zobaczyłam, że człowiek potrafi odbić się od cierpienia i uruchomić w sobie siły i energię, o której my, tzw. zdrowi w ogóle nie mamy pojęcia. Patrzę na naszych finalistów Festiwalu Zaczarowanej Piosenki. Irena Santor powiedziała kiedyś, że ten festiwal jest całkiem inny od wszystkich, bo tu nikt niczego nie udaje, ci niepełnosprawni wokaliści śpiewają całą prawdę o sobie. Tak też się z nimi rozmawia. Naprawdę.

Na co dzień nie umiemy rozmawiać. Ludzie mają kompleksy, czują się skrzywdzeni, niedocenieni. Jest taka teoria ks. Tischnera, teoria krzywych zwierciadeł. Wystarczy zobaczyć, jak

rozmawiają politycy; wyłączyć dźwięk i zobaczyć te wściekle pomarszczone twarze, to, jak patrzą na siebie z nienawiścią. Tak jakby ktoś między tych ludzi włożył krzywe zwierciadło. Patrząc na rozmówcę i widzisz wstrętą, pomarszczoną twarz. I nie zdajesz sobie sprawy z tego, że on widzi twoją twarz taką samą. Trzeba roztrząsać to zwierciadło i popatrzeć prosto w oczy, zobaczyć, z kim się rozmawia. Nie szanujemy przeciwników. A ludzie chorzy, niepełnosprawni zachowują się tak, jakby mieli już to zwierciadło rozbite. Ktoś im to zwierciadło rozbija i dzieje się coś pięknego, prawdziwego. Na festiwalu, razem z naszymi niepełnosprawnymi finalistami, niewidomymi, na wózkach śpiewają wielkie gwiazdy. I między nimi tworzy się niezwykle kontakt. Wszyscy są sobie nawzajem potrzebni. Uwalnia się radość, prawdziwe emocje. Znikają wszelkie różnice, bariery, pękają skorupy.

– **A co jest potrzebne, żeby wyjść z tej skorupy?**

– Dla mnie zawsze najważniejsze były autorytety. A dziś niszczy się je na naszych oczach. Najważniejszy jest dom, rodzice, nauczyciele. W dzieciństwie człowiek zapuszcza korzenie, chłonie wszystko, uczy się najważniejszych postaw, odnajduje drogę na całe życie. Ja miałam fantastyczny dom. Rodzice uczciwi, rzetelni,



pracowici uczyli nas właśnie takich postaw. Uczyli nas radości z tego, że można razem wszystko zrobić. Pieniądzy nie było dużo, więc nie były ważne. Ale nauczyli mnie patrzeć na wszystko, co jest dookoła, na wschód słońca, na kwitnące łąki, na mrówkę i bezdomnego psiaka. To dostałam od rodziców: zachwyty nad tym, co dookoła.

**- To wynikało z braku trosk?**

- Mieliliśmy troski, obowiązki, ale wiedzieliśmy, co jest ważne, gdzie jest jasno, a gdzie ciemno, co jest dobre, co jest złe. Nigdy nie miałam wątpliwości, czy iść na lewo, czy na prawo. Zostałam tak ukierunkowana, dostałam na początku drogi jakieś światełko: od Mamy, która była samą miłością, od Taty, który mówił: „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”; od Dymnego, który był niepokornym, niezwykłym artystą. I ja nie mam wątpliwości w wyborach. I choćby mi ktoś płacił miliony, nie pójdę w jakąś stronę tylko dlatego, że się to będzie opłacało. I Dymny, i Rodzice uczyli mnie tego, że jak się zrobi coś własnymi rękami, to daje największą radość i siłę. Ja wszystko staram się robić sama, np. żurawinę można kupić, ale takiej, jak moja Mama robiła – z gruszką na miodzie, nie kupię nigdzie, więc robię sama. Aniołki na święta też można kupić, ale my je robimy tu, przy stole,

z masy solnej, godzinami... Może czasem są do małek podobne „ale nasze, ale własne”. Może to śmieszne i dla kogoś strata czasu, ale to właśnie daje siłę; stawia człowieka do pionu.

**- Dom wyposaża nas na przyszłość?**

- Źródłem wielu chorób są problemy z dzieciństwem. Byłam zdumiona, robiąc program o astmie, kiedy pani doktor powiedziała mi, że astma to często jest krzyk niechcianego dziecka. To, co się przeżywa w dzieciństwie, odbija się echem przez całe życie. Albo to dzieciństwo daje siłę, albo straszy. Dlatego rodzice muszą sobie zdawać sprawę z tego, jak każde słowo jest ważne. Gdy małe dziecko przeżywa jakieś tragedie, musi wiedzieć, że jest ktoś, kto je zrozumie.

**- A jak tego nie ma, pojawiają się kompleksy.**

- Dziecko słyszy: „głupi jesteś, inni mają lepsze stopnie”, a potem rośnie taki zakompleksiony człowiek, który nienawidzi tych, co są lepsi. Nie umie odkryć, że i w nim jest coś wspaniałego, niepowtarzalnego, choć innego. Dlatego tak ważne, by ktoś nam to pomógł odkryć.

**- Samotność to największe cierpienie naszych czasów...**

- Tak, to słowa Matki Teresy. Ci, którzy wierzą w Boga, którzy są kochani, nigdy tego

cierpienia nie zaznają. Gdy ktoś jest obok, gdy o tobie myśli, gdy wierzysz w jego miłość, potrafisz wiele znieść, nawet ból fizyczny staje się do zniesienia...

**- A jednak wielu ludzi, którym zdarza się jakiś wypadek, tragedia, załamuje się.**

- To rozumiałe. Wali się cały świat, przychodzi żal i pytanie „Dlaczego mnie to spotkało?”. Niektórzy w cierpieniu odwracają się od Boga, od ludzi. Ale z czasem zaczynają w tym cierpieniu szukać sensu. I, o dziwo, znajdują go.

Kiedyś ustyszałam od sparaliżowanego człowieka: „Anka, ty wiesz, że ten Bóg to jest mądry, wie, co robi. Gdyby nie to, że skoczyłam na głowę, byłbym chyba złym człowiekiem, a tak jestem zupełnie kimś innym, jestem po prostu wybrany!”. Gdy patrzyłam, jak cierpiała przed śmiercią moja Mama, choć przecież była w moich oczach Aniołem, myślałam sobie, że skoro jest na świecie cierpienie i jest tak dotkliwie – to musi być ważne i potrzebne. I przeczytałam kiedyś słowa Jana Pawła II o tym, że na świecie nie ma nic bez sensu i że cierpienie to jest taki ogień, bardzo bolesny, który wypala czyste pole, żeby mogła istnieć miłość. A „Miłość jest wszystkim, co istnieje!”.

Z Anną Dymną  
rozmawiała Agnieszka Chadzińska